

Miłość, pożądanie i zdrada
oczami mężczyzny, który znalazł się na rozdrożu.

Dwa jabłka Adama

EWA PODSIADŁY-NATORSKA

Wszelkie prawa zastrzeżone. Nieautoryzowane rozpowszechnianie całości lub fragmentu niniejszej publikacji w jakiegokolwiek postaci jest zabronione. Wykonywanie kopii metodą kserograficzną, fotograficzną, a także kopiowanie książki na nośniku filmowym, magnetycznym lub innym powoduje naruszenie praw autorskich niniejszej publikacji.

Wszystkie znaki występujące w tekście są zastrzeżonymi znakami firmowymi bądź towarowymi ich właścicieli.

Autor oraz Wydawnictwo HELION dołożyli wszelkich starań, by zawarte w tej książce informacje były kompletne i rzetelne. Nie biorą jednak żadnej odpowiedzialności ani za ich wykorzystanie, ani za związane z tym ewentualne naruszenie praw patentowych lub autorskich. Autor oraz Wydawnictwo HELION nie ponoszą również żadnej odpowiedzialności za ewentualne szkody wynikłe z wykorzystania informacji zawartych w książce.

Redaktor prowadzący: Barbara Lepionka

Zdjęcie na okładce: pocałunek © David De Lossy/Photodisc/Getty Images

Zdjęcie autorki na skrzydełku: Anna Mąkosa

Wydawnictwo HELION

ul. Kościuszki 1c, 44-100 Gliwice

tel. 32 231 22 19, 32 230 98 63

e-mail: editio@editio.pl

WWW: <http://editio.pl> (księgarnia internetowa, katalog książek)

Drogi Czytelniku!

Jeżeli chcesz ocenić tę książkę, zajrzyj pod adres

<http://editio.pl/user/opinie/dwajab>

Możesz tam wpisać swoje uwagi, spostrzeżenia, recenzję.

ISBN: 978-83-283-4687-1

Copyright © Ewa Podsiadły-Natorska 2019

Printed in Poland.

- Kup książkę
- Poleć książkę
- Oceń książkę

- Księgarnia internetowa
- Lubię to! » Nasza społeczność

Spis treści

Część I	9
Część II	115
Część III	165
Część IV	287
Część V	437

Widziały go ściany. Widziały, jak leżał na podłodze wśród zdjęć rozsypanych tak jak jego życie. Widziały, jak patrzył w sufit oczami przegranego człowieka. Jak chwilę wcześniej zamknął drzwi na klucz, zdemolował pokój i bez sił padł na kolana, po czym runął na plecy, przygniatając rodzinne fotografie, które zdeformowały się od ciężaru jego ciała. Widziały, jak ostre końce zniszczonych ramek kłuły go niczym gwoździe. Widziały szkło pokruszone w drobny mak; odłamki harały mu skórę. Widziały krew — najpierw z nadgarstka, potem z łokcia, karku, szyi. Widziały, jak przypominał zupełnie beznadziejny kawał ludzkiego mięsa. Jak rozpłakał się niczym dziecko.

Nie widziały tylko, co działo się w jego głowie. Nie widziały spiętrzonej rzeki myśli, która zatrzuwała mu umysł. A zwłaszcza tego jednego pytania, które nie dawało mu spokoju: po co żyje człowiek, który krzywdzi innych?

Część I

*Obłoki, straszne moje obłoki,
jak bije serce, jaki żal i smutek ziemi,
chmury, obłoki białe i milczące,
patrzę na was o świcie oczami łez pełnemi
i wiem, że we mnie pycha, pożądanie
i okrucieństwo, i ziarno pogardy
dla snu martwego splatają postanie,
a kłamstwa mego najpiękniejsze farby
zakryły prawdę. Wtedy spuszczam oczy
i czuję wicher, co przeze mnie wieje,
palący, suchy. O, jakże wy straszne
jesteście, stróże świata, obłoki! Niech zasną,
niech litościwa ogarnie mnie noc.*

Czesław Miłosz, *Obłoki*

Męskie dłonie, mocno zaciśnięte na plastikowym uchwycie. Dalej żyłka, napięta jak struna, i latawiec na jej końcu, bajecznie kolorowy, w kształcie rombu. Od piątych urodziny Ady, a było to cztery dni temu, czekali na odpowiednie warunki, każdego ranka odkrywając z rozczarowaniem, że jest albo zbyt upalnie, albo brakuje wiatru. Kiedy więc pogoda wreszcie dopisała, pobiegli na łąkę przyklejoną do ich osiedla.

— Chcesz spróbować? — Adam zwrócił się do córki, która poze-
rała latawiec wzrokiem.

Jej twarz rozjaśnił szeroki uśmiech.

— Tak! — wykrzyknęła, podskakując radośnie.

Adam ukucnął przy jej boku, nawijając żyłkę na uchwyt i wsuwając go w drobne dłonie dziewczynki. Przez chwilę trzymali go razem; chciał pomóc córce, szybko się jednak okazało, że Ada świetnie radzi sobie sama.

— Brawo, skarbie — pochwalił ją i nagrodził oklaskami.

Kiedy patrzył, jak Ada stoi w lekkim rozkroku, ze skupieniem odmalowanym na twarzy, przypominając małego żołnierza, w tylnej kieszeni jego spodni rozdzwonił się telefon. Na wyświetlaczu poja-
wiło się zdjęcie Lidki.

— Cześć, kochanie — przywitał się.

— Cześć, kotku. Jak się bawicie?

— Bardzo dobrze, byliśmy na lodach, a teraz puszczamy latawiec. To znaczy Ada puszcza — poprawił się szybko.

— Ada? No proszę. — Lidka się zaśmiała. — Słuchaj, moja matka już przyjechała, więc może byście wrócili? — spytała po krótkiej pauzie. Wydawała się wytrącona z równowagi. — Wiesz, jaka ona jest, nie lubi na nikogo czekać.

— Okej — rzucił krótko, powstrzymując się od komentarza.

— Naprawdę was przepraszam. Zdaję sobie sprawę, że Ada długo czekała na dobrą pogodę, ale spróbuj mnie zrozumieć.

Dotarło do niego, że Lidka się tłumaczy, i poczuł się niezręcznie. Nikt nie wybierał sobie krewnych. A matka, jakakolwiek by była, to jednak matka.

— W porządku, zaraz się zbieramy.

Samochód teściowej, srebrny nissan murano, stał na podjeździe. Gdy tylko Adam go zobaczył, poczuł, że podnosi mu się ciśnienie. Obecność Gabrieli i towarzyszących jej luksusów, którymi lubiła się otaczać, odbierały mu pewność siebie.

Nabrał do płuc powietrza, gotowy na konfrontację, i otworzył drzwi. Z salonu płynęły głosy dwóch kobiet. Ada natychmiast wystrzeliła w ich stronę, on natomiast nie zamierzał się śpieszyć. Kiedy wszedł do pokoju, Lidka rozkładała talerze na stole, a Gabriela całowała Adę na powitanie. Oderwała się od wnuczki, gdy się pojawił, i z zasznurowanymi wargami podniosła się z miejsca. Przywitali się błyskawicznym cmoknięciem w policzek.

— Dzień dobry, mamó — powiedział głosem pozbawionym emocji.

— Dzień dobry, Adamie — głos Gabrieli był równie bezbarwny.

Rzucił krótkie spojrzenie Lidce, która cicho westchnęła, stawiając na blacie półmisek z potrawką z kurczaka. We czwórkę usiedli przy stole i zabrali się do jedzenia. Z początku nikt się nie odzywał i Adamowi przeszło przez myśl, że tym razem Gabriela daruje sobie wygłaszanie niewybrednych uwag. Szczególnie jednej nie potrafił jej wyba-

czyć. Gdy niedługo po narodzinach Ady kupili dom przy Szlacheckiej, zadłużając się co prawda na trzydzieści lat, ale ciesząc się, że opuścili ciasne i wynajmowane mieszkanie w bloku, Gabriela zniszczyła ich radość — powiedziała im prosto z mostu, że w jej opinii ludzie zapożyczający się na kilkadziesiąt lat to życiowi nieudacznicy. Istniały jednak na tym świecie rzeczy niezmiennie i teściowa szybko przerwała ciszę, zadając pytanie, na które doskonale знаła odpowiedź.

— Wyjeżdżasz jutro, Adamie?

— Mhm — mruknął, przeżuając jedzenie.

— To konieczne?

Wyrzucała z siebie zimne słowa, wyraźnie szukając zaczepki. Adam spojrzał przez stół na Lidkę, która popatrzyła na niego błagalnie. Jakby chciała powiedzieć: „Wiem, że moja matka bywa okropna, ale błagam, nie pokłóćcie się”.

— Mówiłem już mamie, że mam tłumaczenie do skończenia i jeśli nie wyjadę, nigdy tego nie zrobię.

— Ale Lidia zostanie sama.

Nie było w tym zdaniu ani odrobiny współczucia, tylko wymierzony w niego atak.

— Adam chciał mnie zabrać, ale to nie był najlepszy pomysł, tylko bym mu przeszkadzała. Poza tym mam trochę pracy — wytłumaczyła Lidka; była nauczycielką polskiego w gimnazjum, a w wakacje dorabiała sobie, redagując teksty urzędowe.

— Mhm. — Tym razem to Gabriela mruknęła, grzebiąc widelcem w swoim talerzu. Miała minę, jakby coś przyczepiło jej się do języka; jakaś lodowata uwaga, typowa dla niej złośliwość.

— Wspaniale, mamo, że zabierzesz do siebie Adę. — Lidka znowu przemówiła, próbując rozładować atmosferę. — Ada bardzo lubi cię odwiedzać.

Arsenał się wyczerpał; zabrakło argumentów, których Gabriela mogłaby użyć. Wróciła więc do jedzenia i do końca obiadu odzywała się tylko do Ady, opowiadając, co będą robić w jej domu nad Zalewem Zegrzyńskim.

Kilka minut po szesnastej torba z rzeczami Ady wylądowała w bagażniku nissana. Gabriela zabierała do siebie wnuczkę na dwa tygodnie. Lidka miała wątpliwości, czy matka poradzi sobie z pięcioletnim dzieckiem, skoro na co dzień zajmowała się tylko sobą, zamilkła jednak, gdy Gabriela pouczyła ją, żeby nie robiła z niej emerytki, bo ma dopiero pięćdziesiąt cztery lata.

Kiedy się żegnali, Adam wziął córkę na ręce. Zauważył, że miała łzy w oczach. Pociągnął ją za jeden z kucyków.

— Hej, księżniczko, co to za mina? — zapytał łagodnym głosem, starając się panować nad emocjami; pożegnania z Adą, nawet jeśli rozstawali się na krótko, zawsze były dla niego bolesne.

— Pojedź z nami — poprosiła.

— Nie mogę, tatuś ma bardzo dużo pracy. Niedługo się spotkamy, sama zobaczysz. Przecież lubisz jeździć do babci. Spotkasz się z Moruskiem.

Miał na myśli karego konia, który należał do Gabrieli. Kiedy to powiedział, Ada od razu się rozpromieniła i kamień spadł Adamowi z serca. Kochał córkę nad życie, rozpieszczał ją i traktował jak królewnę, a kiedy się smuciła, miał ochotę rzucić jej do stóp cały świat, byle tylko wypogodniała.

— Babcia będzie mi czytać do snu?

— Oczywiście, *Przygody Koziołka Matołka*, strona dwudziesta trzecia.

Czytanie do poduszki było ich codziennym rytuałem. Ada zawsze słuchała go z zaciekawieniem — widział w jej oczach podziw, który pozwalał mu wierzyć, że jest dobrym ojcem.

— Ale babcia nie czyta tak jak ty. — Czoło Ady pomarszczyło się niczym harmonijka.

— Kochanie, nie mów tak. Koziółek Matołek bardzo chce, żebyś poznała jego przygody, a tatusia nie będzie teraz przy tobie. Dałem babci parę wskazówek — dorzucił, ścisząc głos. — Zobaczysz, że będzie fajnie.

Tyle wystarczyło, żeby Ada rozchmurzyła się na dobre. Zarzuciła mu ręce na ramiona i objęła go najmocniej, jak potrafiła. Jej niebieska sukienka pachniała płynem do płukania tkanin i był to zapach, który jak żaden inny kojarzył mu się z córką. Zaciśnął powieki, emocje zaczynały brać górę. Wiedział, że będzie tęsknił za małą, czuł to w kościach, w każdej komórce swojego ciała. Wolałby, żeby Ada nie wyjeżdżała, sam też chętnie zostałby w Radomiu, ale musiał kierować się zdrowym rozsądkiem. Pomógł Adzie zająć wygodne miejsce w samochodzie, upewnił się, że jest zapięta pasem, po czym pocałował ją w czoło i powiedział, że bardzo ją kocha.

Gabriela podeszła do nissana, patrząc na Adama z wyższością.

— Oczekuję, że będziesz czuwał nad moją córką — powiedziała, kiedy się zegnali. — Nie powinna zbyt długo przebywać sama. Dobrze wiesz, w jakim jest stanie.

— W jakim *była* stanie — poprawił ją, czując, że wzbiera w nim gniew.

Gabriela rzuciła mu takie spojrzenie, jakby żałowała, że stał się częścią jej rodziny. Jakby o wszystko go obwiniała. Aż zrobiło mu się niedobrze. Bardzo chciał, żeby już pojechała.

Zanim samochód ruszył, Lidka zdążyła jeszcze przez uchyloną szybę podać Adzie maskotkę małpkę, którą ta zostawiła na szafce w przedpokoju, i wreszcie Gabriela odpaliła silnik, zatrąbiła dwa razy i auto zaczęło staczać się z podjazdu. Dopóki nissan nie zniknął za zakrętem, Adam nie przestawał machać córcie na pożegnanie. Nie

wiedząc, że gdy ponownie się spotkają, jego życie będzie wyglądało zupełnie inaczej.

Czerwony imbryk wypełniony zieloną herbatą parzył dłonie. Lidka przez ściereczkę chwyciła jego ucho i wypełniła filiżankę aromatycznym naparem. Na talerzach stygły żółte strzępki jajecznicy i resztki grzanek. Kończyli kolację.

— Twoją matkę coś ugryzło? Strasznie była upierdliwa — odezwał się Adam, rzucając żonie krótkie spojrzenie. Wstał od stołu i podszedł do lodówki, z której wyciągnął butelkę carlsberga. Podważył kapsel otwieraczem i wrócił na miejsce.

— Nie, chyba nie, nie wiem. — Lidka wzruszyła ramionami i złożyła sztucę na talerzu. — Powiedziała ci coś przy samochodzie? Wyglądaliście, jakbyście zaraz mieli skoczyć sobie do gardeł.

Adam zawahał się przez krótką chwilę.

— Nic takiego — stwierdził, napił się piwa i rozsiadł na krześle. — Chociaż czasem twoja matka zachowuje się, jakby mi nie ufała, jakbym niewłaściwie się wami opiekował.

Lidka zaśmiała się głośno, przytknęła do ust filiżankę i rzuciła Adamowi przenikliwe spojrzenie znad porcelanowego naczynia. Słowa zawisły w powietrzu. Adam przyglądał się żonie przez dłuższy czas. W ciągu tych wszystkich wspólnie spędzonych lat sporo się zmieniła. Kiedy się poznali, miała kasztanowe włosy łagodnie spływające po plecach. Teraz nosiła się po chłopięcemu — krótka fryzura z mocno wycieniowaną grzywką. W jej oczach brakowało błysku, zgasła w nich iskra. Ale ją kochał. W czasach, gdy małżeństwa wokół nich rozsypywały się jak budowle z piasku, oni wciąż byli razem i się szanowali.

Lidka, ze spojrzeniem przyklejonym do twarzy Adama, podniosła się z krzesła i podeszła do niego, stawiając miękkie kroki na dębowym

parkiecie. Miał ochotę zapytać, co jej chodzi po głowie — coś dziwnego było w oczach, którymi na niego patrzyła — zamilkł jednak, kiedy wsunęła mu dłoń we włosy i opadła na jego kolana. Zaskoczyła go tym, bo rzadko się tak zachowywała. Przysunęła usta do jego policzka i złożyła na nim krótki pocałunek. Objął ją w tali. Przesunął dłonie wyżej, na plecy, a gdy się cofnęła i znowu rzuciła mu to przenikliwe spojrzenie, objął wzrokiem jej twarz, złapał ją za szyję, przyciągnął do siebie i mocno pocałował.

Potem wszystko potoczyło się błyskawicznie. Lidka rozpięła mu koszulę i obsypała pocałunkami jego nagie ramiona. Była zaskakująco namiętna; przez chwilę Adam poczuł się, jakby robili to po raz pierwszy. Taka podróż w czasie bardzo mu się spodobała — życie intymne, owszem, mieli udane, ale po tylu wspólnie spędzonych latach zdążyli się już przyzwyczaić do siebie tak bardzo, że coraz częściej woleli się wyspać, niż kochać do rana. Zachowanie Lidki było więc bardzo miłą odmianą. A gdy ściągnęła bluzkę i ugryzła go w płatek ucha, on wziął ją na ręce i zaniósł na kanapę, gdzie uprawiali szybki seks, po którym padli spoceni na plecy i przez kolejnych parę minut próbowali uspokoić oddech. Bardzo żałował, że musi wyjechać.

Następnego dnia, w niedzielę, Adam obudził się po szóstej. Słoneczne pasmo, które wcisnęło się do pokoju pomiędzy ciężkimi zasłonami, rozświetliło twarz pogrążonej we śnie Lidki. Adam uśmiechnął się na wspomnienie wczorajszego wieczoru i pomyślał, że będzie mu jej brakowało. Dyskretnie wysunął się spod kołdry i zamknął w łazience. Gdy wziął prysznic, zaparzył sobie kawę i z kubkiem w dłoni wrócił na górę dokończyć pakowanie. Ubrania, kosmetyki, laptop z bezprzewodowym dostępem do internetu, dwa słowniki angielsko-polskie, gruby notatnik, zapas długopisów i ołówków, telefon, dokumenty.

Kiedy upewnił się, że zabrał wszystko, Lidka się przebudziła i popatrzyła na niego zaskoczona.

— Już na nogach? Boże, jest chyba środek nocy.

Adam zerknął na zegarek.

— Jest za osiem siódma, kochanie. Chcę wcześniej wyjechać i jak najszybciej wziąć się do roboty. Został mi miesiąc, a przetłumaczyłem dopiero jeden rozdział z dwudziestu.

Oboje wiedzieli, że ten wyjazd jest konieczny. Przed rokiem Adam dostał pilne zlecenie — przekład amerykańskiego bestsellera o zarządzaniu czasem. Zgodził się chętnie, jednak praca w ogóle mu nie szła, zdania nie chciały się skleić, tekst wydawał się sztuczny, nie było w nim ducha. Czuł się tak bardzo wykończony, że niewiele brakowało, a rzuciłby to wszystko w cholerę, przy okazji wbijając sobie gwóźdź do zawodowej trumny. Wtedy Lidka zaproponowała, żeby zmienić otoczenie i wyjechał do Góry Puławskiej, na działkę, którą odziedziczył po dziadku ze strony ojca. Długo się nie zastanawiając, wrzucił do torby potrzebne rzeczy i wyjechał. Po dwóch tygodniach tłumaczenie było gotowe.

Lidka przetarła twarz dłonią i wstała z łóżka. Podeszła do drzwi; na haku wisiał jej różowy szlafrok, który zarzuciła na ramiona. Adam popijał kawę i patrzył, jak jego żona kręci się po pokoju. Była dziś jakaś inna — jakby bardziej zrelaksowana i swobodna. Powiedziała, że przygotuje śniadanie, i zgodnie z zapowiedzią po kwadransie zawołała go na dół.

— Zrobiłam ci trochę zapasów — oznajmiła po skończonym posiłku i wstała z krzesła, by spakować jedzenie.

— Jesteś cudowna — powiedział, wytarł usta serwetką, cmoknął Lidkę w policzek i poszedł po bagaże. Punkt ósma był gotowy do drogi. Lidka stała na ganku i obserwowała go bez słowa. — Na pewno nie chcesz jechać ze mną? — spytał, gdy do niej podszedł.

— Nie, kochanie — pokręciła głową. — Ty masz swoją pracę, a ja swoją. Jedź do tej Góry, zrób, co masz do zrobienia, i wracaj do mnie.

Adam objął ją w pasie.

— No dobrze — westchnął ciężko. — Będziemy w kontakcie. Daj znać, gdy twoja matka się odezwie. Albo lepiej zadzwoń do niej sama, wiesz, jak z nią jest.

— Nie bądź złośliwy. — Lidka go skarciła, ale nie zdołała ukryć uśmiechu. — Przyjedziesz na weekend?

— Przyjadę — obiecał Adam i pocałował żonę na pożegnanie. — Kocham cię.

— A ja ciebie.

Poprawiła mu z czułością kołnierzyk i zmarszczyła czoło.

— No jedź już, nienawidzę się z tobą żegnać. I uważaj na siebie.

— Ty też. Gdyby coś się działo...

— Nic się nie będzie działo, kotku. Szerokiej drogi.

Słońce grzało mocno, kiedy Adam wsiadał do czarnej hondy civic. Zapiął pas bezpieczeństwa, odsunął szybę i spojrzał na Lidkę — wyglądała tak uroczo, że przez moment zawahał się, czy powinien wyjeżdżać, szybko jednak zszedł na ziemię. Tłumaczenie, tłumaczenie, tłumaczenie, powtarzał sobie w myślach. To była teraz sprawa numer jeden. Czuł przez skórę, że jeśli zostanie w domu, praca rozsypie mu się w rękach, słowa nie ułożą się w zdania, a zdania nie zamienią się w akapity. Polegnie.

Nie przedłużając pożegnania, przekręcił kluczyk w stacyjce, włączył klimatyzację, pomachał Lidce i ruszył w drogę. Ledwo brama się za nim zamknęła, a poczuł się dziwnie, jak gdyby już zaczął tęsknić. Jeszcze wczoraj miał wokół siebie kobiety, które kochał i za które bez wahania oddałby życie, a teraz był sam jak palec, z każdym metrem oddalając się od żony i córki. Los bywa przewrotny, pomyślał.

Ale wszystko, co robił, robił dla nich. Z tym przekonaniem wcisnął gaz, wrzucił piąty bieg i pomknął w stronę Puław.

Działka w Górze Puławskiej zajmowała spory teren rozciągnięty między trasą na Kozienice a piaszczystą drogą przecinającą pola. Wybudowany na niej domek nie był duży. Adam przyjeżdżał tu w dzieciństwie i dopóki miał co zjeść, gdzie się przespać i pobawić, nie przejmował się brakiem luksusów. Teraz pewnie kręciłby na to nosem, na szczęście nie musiał — kiedy odziedziczył działkę, naruszył oszczędności i zmodernizował domek, dobudowując kuchnię, łazienkę i ganek na jego tyłach. Wymienił meble, wszystkie zamki, założył alarm, posadził tuje i paprocie. Działka wypiękniała.

Dotarł na miejsce w pięćdziesiąt minut. Zaparkował wzdłuż ulicy i wyszedł otworzyć bramę. Wciągnął w płuca powietrze — kochał tutejszy zapach: świeży i sielski. Mógł sobie wmówić, że jest na wakacjach. To znacznie miłsze, uznał, niż świadomość, że dwieście jedenaście stron (szlag) czeka na przetłumaczenie. Wtoczył się na podwórko, zaparkował w cieniu drzew, z dala od wścibskich spojrzeń miejscowych pijaczków, otworzył dom i wniósł do środka bagaże.

Rozpakowywał się, kiedy leżąca obok zlewozmywaka komórka zawibrowała. SMS od Lidki: „Ada czuje się dobrze, ma apetyt, jest zadowolona. Dojechałeś szczęśliwie?”. Odpisał, że się cieszy i że, owszem, dotarł na miejsce bez problemu i zaraz zabiera się do roboty. Zanim jednak to zrobił, otworzył puszkę lecha — wmawiając sobie, że po piwie lepiej mu się będzie pracowało, co zresztą często się sprawdzało — zorganizował sobie miejsce pracy pod daszkiem za domem i zanurzył się w obowiązkach. Miał odtąd zajmować się wyłącznie amerykańskim doktorem psychologii i jego przemyśleniami dotyczącymi nawyków. Tyle że życie wołało pisać swoje scenariusze.

Tłumaczenia są jak kobiety — albo piękne, albo wierne. Adam przypomniał sobie to powiedzenie i się roześmiał. A skoro się śmiał, było dobrze. Odkąd przyjechał do Góry Puławskiej, zakopał się w pracy i ku swojemu zdumieniu odkrył, że ta szła mu jak z płatka. Wreszcie, po tygodniach posuchy, coś zaskoczyło i wpadł we właściwe tryby. Wypluwał z siebie słowa raz po raz, jak krawiec kroił je na miarę, tu coś odjął, tam coś dodał. Sterty notatek, w których na brudno zapisywał swoje pomysły i tworzył próbki zdań, rosły wokół niego całymi rzędami.

Narzucił sobie żelazną dyscyplinę: jeden rozdział, czyli dziesięć, a przy dobrych wiatrach dwanaście stron dziennie. Wstawał o ósmej i zaraz po śniadaniu zakasywał rękawy. Koło trzynastej wybierał się na spacer. Łagodny szum falującego zboża, regularne cykanie świerszczy, przyjemne ciepło promieni słonecznych wprawiały go w spokojny nastrój. Bywało, że nogi niosły go do lasu albo nad Wisłę. To z sentymentem, to znów z rozczarowaniem odkrywał miejsca, w których zostawił ślady jako dziecko. A potem wracał i kończył pracę, by wieczorem móc się zrelaksować bez wyrzutów sumienia. Kiedy we wtorek odebrał maila z wydawnictwa z pytaniem, jak mu idzie, odpisał, że bardzo dobrze i że przekład będzie gotowy na czas. Ulżyło mu, że nie musi kłamać.

— Bardzo się cieszę, że dobrze ci się pracuje — przyznała Lidka z radością w głosie. — Wiedziałam, że ten wyjazd to dobry pomysł.

— Dokładnie — potwierdził Adam. — Złapałem wiatr w żagle.

— Cudownie. Nie głodujesz?

— No coś ty, właśnie wracam ze sklepu obładowany siatami. A tobie jak idzie?

— Dobrze, siedzę nad broszurką dla pośredniaka. Ten ich urzędowy język... — westchnęła Lidka. — Muszę się niezłe nagimnastykować, żeby go wygładzić. A tak w ogóle to moja matka dziś dzwoniła. Wszystko u nich dobrze, organizuje Adzie czas jak szalona. Ada podobno pada ze zmęczenia już po osiemnastej.

Adam zaśmiał się pod nosem: zwykle ich córka nie dawała się wygonić do łóżka wcześniej niż przed dwudziestą. Była bardzo żywiołowym dzieckiem, wciąż wynajdywała sobie nowe zajęcia. Miała większe zadatki na sowę niż na skowronka.

Porozmawiali jeszcze przez chwilę; Adam obiecał, że później zadzwoni do Ady, która, jak się dowiedział, ciągle o niego pytała. Wsunął telefon do kieszeni i przyspieszył kroku. Maszerował wzdłuż domów, które ciągnęły się przy drodze w równym rzędzie. Kilka razy uklonił się gospodarzom, których znał z dzieciństwa, nie mógł jednak pozbyć się wrażenia, że nie wszyscy go poznali. Cóż. Niewiele w nim pozostało z tego kościstego urwisa, który przed dwudziestoma paroma laty kręcił się po okolicy z tutejszymi dziećmi. Nie miał zadatków na przystojniaka, a jednak upływ czasu okazał się dla niego wyjątkowo łaskawy.

Był kilkadziesiąt metrów od domu, gdy wyminęła go bordowa corsa. Kierowca zwolnił i zatrzymał się przed bramą sąsiedniej działki. Drzwi otworzyły się i z samochodu wysiadła blondynka, ubrana w szorty i beżową koszulkę. Włosy miała spięte wysoko nad karkiem. Złapał się na tym, że trochę za długo gapił się na jej smukłe, opalone nogi. Nie umknęło jego uwadze, jak piekielnie była zgrabna.

Zrównał się z nią, kiedy otwierała bramę. Poczul się zakłopotany, gdy ich spojrzenia się spotkały. Wbił wzrok w chodnik i przyspieszył kroku.

— O kurczę, Adam? Adam Wysocki? — usłyszał niespodziewanie.

Stanął jak wryty. Wielka łapa ścisnęła mu żołądek. Odwrócił się i spojrzął na nieznaną, która wiedziała, kim był. Tylko że on widział ją pierwszy raz w życiu. Na pewno nie zamierzał się obrazić, że *taka* kobieta znała go z imienia i nazwiska. Zrobiła na nim wrażenie, a im dłużej badał jej twarz i im więcej sekund z nią dzielił, tym bardziej go intrygowała. Tylko że do tej twarzy i do tego ciała nie był w stanie przypisać żadnego nazwiska.

Dziewczyna patrzyła na niego zaskoczona, ale z uśmiechem, który mimo woli odwzajemnił. I nagle spłynęło na niego olśnienie.

— Diana?!

To był dom Poterów — mieli o dwa lata młodszą od niego córkę, z którą spędzał każde wakacje. Po wielu latach znowu z nią rozmawiał.

Patrzył, jak waży kłódkę w dłoniach, i wydawało mu się, że wzrok próbuje wystrychnąć go na dudka. Jeśli on się zmienił, to ona się po prostu przepoczwarzyła, była inną osobą. Gdy widział ją po raz ostatni, z pewnością nie była najpiękniejszą dziewczyną w okolicy. Bardzo ją lubił, to prawda, ale zawsze widział w niej kumpla, nikogo więcej. Ot, zwykła nastolatka przeciętnej urody, jakich pełno. A teraz? Teraz, drogi Boże, wyglądała fantastycznie. Dojrzała, wypiękniała, wypogodniała.

— O rany, Adam, co za spotkanie! — wykrzyknęła pełna entuzjazmu, uchyliła bramę i zanim zdążył zrobić cokolwiek, rzuciła mu się w ramiona. Cały zadrzał. Jej włosy pachniały miodem. Ciało miała gorące i zroszone potem. Objął ją mocno.

— Cholera, coś niesamowitego, tyle lat się nie widzieliśmy — powiedziała, cofając się i podpierając pod boki. — Chyba ze dwadzieścia! Co ty tutaj robisz? Przyjechałeś sam? Ciągłe macie tę działeczkę?

Patrzenie na nią było tak niecodziennym doznaniem, że nie od razu dotarł do niego potok słów, który spłynął z jej ust. Dopiero

gdy Diana zmarszczyła brwi, wyraźnie wyczekując odpowiedzi, Adam wrócił na ziemię.

— Yy... Tak, ciągle ją mamy — pokiwał głową. — Przyjechałem w niedzielę trochę popracować, tłumaczę książkę i, jak to mówią, jestem w niedoczasie.

— O, a o czym ta książka?

Bardzo się starał brzmieć naturalnie, ale nie mógł oprzeć się wrażeniu, że jego głos się zmienił, wydawało mu się, że wydobywa się z innego ciała.

— To poradnik o nawykach. Wiesz, w Górze Puławskiej jest jednak trochę inaczej niż w Radomiu, a ja potrzebowałem spokoju. A ty co tu robisz?

— Przyjechałam na jakiś czas popilnować dobytku — zachichotała. — Moi rodzice pierwszy raz od piętnastu lat wybrali się na wczasy i poprosili mnie, żebym w tym czasie tu pomieszkała. Pracuję w przedszkolu, więc teraz mam wolne. Nie dałam rady się wykręcić.

— Pracujesz w przedszkolu?

Diana kiwnęła głową i wsunęła ręce do kieszeni szortów. Mówiła szybko i rytmicznie; brzmiało to tak, jakby jej słowa płynęły po pięciolinii.

— Mhm, w Warszawie.

— Mieszkasz w Warszawie?

Zaśmiała się i znowu przytaknęła.

— Tak, od studiów. Jezu, naprawdę nie widzieliśmy się sto lat. — Tym razem pokręciła głową i zerknęła na siatki, które niósł ze sklepu. — Jeśli masz tam masło, to lepiej szybko zanieś je do lodówki, upał jest dziś straszny.

Dopiero gdy to powiedziała, Adam przypomniał sobie o zakupach.

— Cholera jasna, nie tylko masło, ale też jogurt, biały ser i w ogóle — wymamrotał, lekko speszony. Poczul się jak głupek.

— To biegnij do siebie, my też się tu zresztą za chwilę rozpuścimy.
— Diana klepnęła go w ramię. A kiedy miał już odejść, spytała: — Bardzo będziesz zajęty dziś wieczorem? Może wpadniesz do mnie na małe piwo? Powspominalibyśmy stare czasy...

Nie trzeba mu było tego dwa razy powtarzać.

Przez następne trzy godziny próbował przypomnieć sobie, kiedy ostatni raz się z nią widział — zdawało mu się, że minęła wieczność. Przez głowę przelatywały mu wakacyjne obrazy: jeżeli nie pomylił się w obliczeniach, stracili ze sobą kontakt na osiemnaście lat. Osiemnaście! Ile rzeczy wydarzyło się w tym czasie... Był tak ciekaw Diany i jej życia, że po powrocie natychmiast rzucił się do laptopa, byle jak najszybciej skończyć rozdział. I ku swojemu najwyższemu zdumieniu odkrył, że słowa same go odnalazły — zupełnie jakby praca wypychała go w ramiona przyjaciółki sprzed lat.

Otworzył furtkę. Kroczył po jasnoszarej kostce przeplatanej czerwonymi elementami, powoli i w zamyśleniu, jak gdyby próbując odgadnąć, czy ślady jego stóp, które zostawił tu w przeszłości, zupełnie się zatarły, czy też pozostał jakiś ich odcisk, jakieś wspomnienie po tym, co minęło. Miał trzydzieści trzy lata, a czuł się jak dzieciak przybiegający po Dianę, bo umówili się, że pójdą nad Wisłę albo pograją w piłkę na polanie. Wspiął się po schodach. Gdy dzwonił do drzwi, przypomniało mu się, że najczęściej stała na bramce.

W przedpokoju błysnęło światło; minęło kilka sekund i znów patrzył na jej twarz, obejmował ją wzrokiem jak ramionami. Zauważył, że rozpuściła włosy, które spływały łagodnym wodospadem na plecy. Jej wzrok, te głębokie niebieskie oczy, przeszły go na wylot.

— Wchodź, wchodź, zapraszam — odezwała się z uśmiechem i odsunęła, by mógł wejść do środka. Przedpokój był ciasny — kiedy Adam się w nim zanurzał, prawie się z Dianą o siebie otarli.

Zatkało go, gdy stanął w progu salonu. Poczul się, jak gdyby cofnął się w czasie — praktycznie wszystko było takie jak w jego pamięci: dwie skórzane kanapy, fotel, okrągły stół, obrazki na ścianach, afrykańskie figurki na kredensie, barek naprzeciwko drzwi. Podeszedł do niego ze ściśniętym gardłem. Jego wzrok zatrzymał się na butelce whisky. Ojciec Diany miał do niej słabość, Adam dobrze to pamiętał — oczami wyobraźni ujrzał go stojącego przed domem, ściskającego pękatą szklankę, w której połyskiwał bursztynowy płyn z zatopionymi kostkami lodu.

— Pamiętasz, jak ukradliśmy twojemu ojcu cytrynowkę? — zapytał, gdy wspomnień w jego głowie zaczęło lawinowo przybywać. — Piliśmy ją...

— ...w waszym sadzie pod papierówką. Tak, pamiętam.

Diana stała oparta o futrynę z rękami splecionymi na piersiach i obserwowała go z lekko przechyloną głową. Spojrzenie miała tajemnicze; jakby była jednocześnie zmysłową kobietą i małą dziewczynką. Nie mógł uwierzyć, że to ona, że po kilkunastu latach znowu był w tym domu.

— A potem przez całą noc wymiotowałam — dodała i wyszczerzyła zęby w uśmiechu. — Próbowалам wmówić mamie, że zatrulałam się ziemniakami z ogniska, ale ojciec od razu się zorientował, że w barku brakuje mu butelki. Strasznie się wściekł. Wiesz, że chciał iść do twoich rodziców i powiedzieć im, że nie będę się z tobą więcej spotykać?

— Poważnie? Dobrze, że tego nie zrobił.

— Może w takim razie — Diana chwyciła jedną z butelek — zamiast piwa napijemy się wina? Hiszpańskie, półsłodkie.

Jej wzrok rzucał mu wyzwanie. Zachowywali się jak para dzieciaków w wielkiej konspiracji planująca całonocne pijaństwo. Adam bez wahania kiwnął głową.

Usiedli na sofie; on zabrał się do rozlewania wina, ona włączyła muzykę.

— Jezu, tu naprawdę prawie nic się nie zmieniło — stwierdził, rozglądając się po pokoju. — Mógłbym przysiąc, że nawet te afrykańskie figurki stoją w tym samym miejscu.

— To akurat niewykłuczone — roześmiała się Diana. — Moja mama ma na ich punkcie obsesję. Przed wyjazdem powiedziała: „Tylko uważaj na figurki, żadna z nich NIE MOŻE się stłuc”. Zachowuje się jak jakaś stuknięta Annie Wilkes z powieści Kinga.

Adam przyjął te słowa z zadowoleniem; *Misery*, do której nawiązała, była jedną z jego ulubionych powieści. Chwycili kieliszki. Diana przytknęła swój do ust i napiła się wina. On w tym czasie popatrywał na nią ukradkiem, jakby widział ją pierwszy raz w życiu. Jej obecność była jak cudowna nowość, powiew świeżości.

— Twoi rodzice mieszkają sami?

— Tak, ale nie narzekają. Mam wrażenie, że teraz układa im się lepiej niż kiedyś. Przyjeżdżam do nich, kiedy mogę. Wiesz, warszawskie życie jest bardzo absorbujące.

Znowu upiła łyk wina i Adam automatycznie rzucił spojrzenie na jej dłoń. Odnotował, że nie miała obrączki. Ale raczej nie spodziewał się, że jest sama. Taka kobieta? Litości, były jakieś granice złudzeń.

— To jak ci się układa w Warszawie? — Bardzo się starał nie wyjść na wścibskiego.

Diana podkułiła nogi i zaczęła bawić się kieliszkiem.

— Całkiem dobrze. Mam pracę w przedszkolu, lubię ją. Dzieci są cudowne, choć czasem dają mi w kość. A ty nadal w Radomiu? —

Zmieniła temat i Adam poczuł ukłucie zawodu, że nie dowiedział się niczego więcej.

Wziął duży łyk wina i kiwnął głową.

— Nadal, nadal, ale nie narzekam. Pracuję jako freelancer, tłumaczę poradniki, głównie psychologiczne. Na własnym garnuszku nie jest łatwo, ale nie zamieniłbym tej pracy na inną.

— Ożeniłeś się.

To stwierdzenie spadło na niego tak nagle, że aż zaczął się zastanawiać, czy naprawdę je usłyszał. Diana obserwowała go łagodnie i czekała na odpowiedź.

— Yy... Tak, ożeniłem się — odpowiedział, przenosząc wzrok z jej twarzy na swoją prawą dłoń. Złota obrączka mieniła się na serdecznym palcu.

— Długo jesteście małżeństwem? — W głosie Diany nie było zazdrości.

— Osiem lat — odparł, nie patrząc na nią.

— Niezły staż, gratuluje. Opowiesz, jak się poznaliście?

Niespecjalnie miał na to ochotę, dlatego wziął solidny łyk wina.

— W zasadzie to historia jak każda inna — stwierdził, ponownie napełniając kieliszki. — Studiowaliśmy razem polonistykę, ale ja po roku zrezygnowałem i przenieśliśmy się na filologię angielską. Jakiś czas później wpadliśmy na siebie na ulicy, odnowiliśmy znajomość... A potem już poszło.

— Macie dzieci? — spytała Diana, zaskakując go swoją śmiałością, mimo że w pytaniu nie było nic niestosownego.

— Mhm — pokiwał głową. — Pięcioletnią córkę.

— Jak ma na imię?

— Ada.

— Bardzo ładnie.

— A ty? — zapytał szybko. Nie chciał dłużej opowiadać o sobie.

— Ja? O co dokładnie pytasz?

Wzruszył ramionami, niby od niechcenia.

— Jak ci się poukładało życie osobiste? Wyszłaś za mąż, masz dzieci?

— Dwa razy nie. Nie wyszłam za mąż, nie mam dzieci. Spotykam się z kimś, jesteśmy razem od paru lat. Tyle czasu minęło, że przestaliśmy rozmawiać o ślubie. Dobrze jest tak, jak jest.

Jego mózg intensywnie przetwarzał każdą wypowiedzianą przez nią sylabę.

— Jak się poznaliście?

— W sumie to też historia jak każda inna. Przez wspólnych znajomych.

Chciał wiedzieć więcej, poczuł jednak, że niezręcznością byłoby bombardować Dianę pytaniami, przypierać ją nimi do muru. Uznał, że jeśli będzie miała ochotę, sama mu wszystko powie.

— Należysz mi wina? — zapytała. W szybkim tempie wlewali w siebie alkohol; butelka była już prawie pusta. — Jeśli masz ochotę, możemy jeszcze się czegoś napić. Byłoby niezłe, gdyby się okazało, że mój ojciec wciąż trzyma w barku cytrynowkę.

Cytrynowka się jednak nie znalazła — gdy Diana szperała w zapasach, Adam siedział na kanapie i obserwował ją zaciekawiony. Choć ledwo co się spotkali, ta kobieta przyciągała go jak magnes. Była tajemniczym ogrodem, do którego chciał się wdrzeć. Złapał się na tym, że ciągle się na nią gapi.

— Przypomniało mi się — podjęła, gdy wróciła z drugą butelką wina, które Adam rozlał do kieliszków — jak wybraliśmy się kiedyś na ryby i wpadłeś do wody.

W głowie Adama eksplodowało wspomnienie. Z sentymentem rozmyślał o tamtych latach. Żałował, że czas płynie tak szybko.

— Rany, pamiętam! Utopiłem podbierak ojca, strasznie się na mnie wściekł. Myślałem, że urwie mi głowę. Ale się wtedy ze mnie nabijaliście.

— No, chociaż trochę nas przestraszyłeś, krzyczałeś, że nie umiesz pływać i że się utopisz.

— Bo nie umiałem.

— Nie umiałeś pływać?! — Diana prawie krzyknęła. — Nie gadaj, żartujesz, prawda?

— Chciałbym, ale niestety. Winny. — Adam uniósł prawą rękę.

— Ale co ty mówisz, przecież już nie byliśmy wtedy tacy mali, ile mogłeś mieć lat?

— Ze dwanaście. Dopiero po tej wpadce zmusiłem ojca, aby mnie nauczył.

— No ale jak to możliwe? Przecież to nie były nasze pierwsze wspólne wakacje, tyle razy chodziliśmy nad Wisłę, kąpałeś się...

— Jesteś pewna, że się kąpałem?

— No jasne, że jestem pewna! Zaraz, czemu tak na mnie patrzysz, chyba mi nie chcesz powiedzieć...

Adam energicznie pokiwał głową, powstrzymując śmiech.

— Nie! Jezu, ty wcale się nie kąpałeś! Chlapałeś się, opalałeś, łowiłeś ryby, ale nie pływałeś! Rany, ale numer, nie mogę.

Diana zaczęła śmiać się do rozpuku; była tak rozbawiona, że aż położyła sobie ręce na brzuchu. Wydawało się, że śmieje się całą sobą. Było w tym coś ujmującego i czarującego.

Tak upłynęła pierwsza godzina, potem druga i następna. Pokój pęczniał od wspomnień. Okolicę spowił mrok, cykanie świerszczy się nasiliło. Wino wypite w pośpiechu prędko wniknęło im do krwioobiegu. Wspominanie tego, co minęło, okazało się kapitalnym doświadczeniem. Ileż mieli ze sobą wspólnego! Ileż godzin, dni, całych tygodni spędzili razem. I jak wiele pamiętali. Adam nigdy by siebie

nie podejrzewał o sentymentalność, ale kiedy siedział z Dianą na jednej kanapie i popijał wino, w jego umyśle pojawiały się obrazy z przeszłości odwzorowane niemal z fotograficzną dokładnością.

Wypili dwie butelki wina. Gdy szli do furtki ścieżką poprzecinaną światłem rzucanym przez lampy solarne, alkohol szumiał im w głowach. Nie mogli się nagadać, ze wszystkiego chciało im się śmiać. Czuli się przy sobie bardzo swobodnie.

— Było naprawdę świetnie — przyznał Adam, kiedy zatrzymali się przed bramą. Pomyślał, choć szybko odpędził od siebie tę myśl, tak jak się odpędza natrętną muchę, że Diana to cholernie atrakcyjna kobieta.

— Też się super bawiłam. Fajnie sobie czasem przypomnieć dzieciństwo.

— Zgadza się. Na długo przyjechałaś?

— Trochę tu posiedzę. Moi rodzice najpierw przez dwa tygodnie są w Grecji, a potem jadą na parę dni do Krakowa odwiedzić rodzinę.

— Twój narzeczony będzie za tobą tęsknił — wyrwało się Adamowi i zanim zrozumiał, co powiedział, Diana skomentowała:

— Nie byłabym taka pewna. Właśnie siedzi na Sycylii.

— Na Sycylii? Bez ciebie?

— Jest fotografem, robią jakąś sesję, potem leci do Wiednia na kilka dni. Przywykłam. I nie jest moim narzeczonym — poprawiła go.

— To widzę, że z niego gruba ryba — stwierdził.

I pomyślał: czy to naprawdę moje słowa?!

— Gruba ryba, dobrze powiedziane. — Diana roześmiała się i na dłużej zatrzymała wzrok na jego twarzy. — Może się jeszcze spotkamy? Wiesz, będę tu kompletnie sama, nie licząc Miśka, naszego psa; ale znając go, to całymi dniami będzie się szwendał po okolicy...

Mówiłaby dalej, ale Adam przerwał jej w pół słowa.

— Oczywiście — odparł. — Oczywiście, że się jeszcze spotkamy.

Jej twarz rozświetliła się pod wpływem uśmiechu. Adam nie liczył, który to już raz tego wieczoru.

— W takim razie do zobaczenia — powiedziała i cmoknęła go w policzek.

Trwało to ledwie chwilę, mniej niż sekundę, a jednak wystarczyło, by znowu poczuł ciepło jej ciała, zapach miodowego szamponu, seksowny aromat skóry. Nie podobało mu się, jak bardzo to na niego działało. Potem będzie sobie wmawiał, że to przez alkohol. Kiedy jednak Diana cofnęła się i spojrzała mu w oczy, zdał sobie sprawę, że dla tej kobiety można błyskawicznie stracić głowę.

— Dobranoc — wyszeptała, wyminęła go i podeszła do furtki.

— Dobranoc. — Popatrzył na nią jeszcze przez moment i ruszył w swoją stronę.

PROGRAM PARTNERSKI

— GRUPY HELION —



1. ZAREJESTRUJ SIĘ
2. PREZENTUJ KSIĄŻKI
3. ZBIERAJ PROWIZJĘ

Zmień swoją stronę WWW w działający bankomat!

Dowiedz się więcej i dołącz już dzisiaj!

<http://program-partnerski.helion.pl>

GRUPA
Helion

On

Wzorowy mąż i ojciec,
utrzymujący rodzinę
z pracy tłumacza.

Onie

Wzorowa żona i matka
oraz jego koleżanka
z zamierzchłej przeszłości.

Przypadkowe spotkanie Adama i Diany w rodzinnych stronach staje się początkiem erotycznej i psychologicznej gry pomiędzy nimi, w którą wkrótce zostaje wciągnięta również jego żona Lidka. Z pozoru zwykły romans okazuje się niemożliwy do zakończenia, a fascynacji koleżanką z dzieciństwa ulega także żona Adama. Prowadzi to do trudnego, poliamorycznego układu, w którym wszyscy troje będą musieli zweryfikować to, w co do tej pory wierzyli.

W tym *ménage à trois* — gospodarstwie domowym trzech osób — powstaje wzajemna sieć skomplikowanych i dzikich powiązań, w której będzie jeszcze musiało się znaleźć miejsce dla małego dziecka.

Dwa jabłka Adama to bardzo przejmująca i zaskakująca powieść, która wzbudziła we mnie mnóstwo emocji. Jestem przekonana, że spodoba się fankom romansów z wątkiem psychologicznym, a także wielbicielkom dramatów. Trzyma w napięciu do samego końca. Serdecznie polecam!

K. N. HANER

autorka bestsellerowych romansów,
m.in. serli o Morfeuszu, *Sponsor* czy *Drwal*

PATRON MEDIALNY:



 **editio red**

 **Księgarnia internetowa:**
<http://editio.pl>

 **Zamówienia telefoniczne:**
0 801 339900
 **0 601 339900**

Sprawdź najnowsze promocje:
• <http://editio.pl/promocje>
Książki najchętniej czytane:
• <http://editio.pl/bestsellery>
Zamów informacje o nowościach:
• <http://editio.pl/nowosci>

Helion SA
ul. Kościuszki 1c, 44-100 Gliwice
tel.: 32 230 98 63
e-mail: editio@editio.pl
<http://editio.pl>

ebook dostępny wyłącznie na:
ebookpoint^{PL}



ISBN 978-83-283-4687-1



Cena 39,90 zł